№ 14.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.



Warszawa, dnia 23 Marca / 4 Kwietnia 1871 roku

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

ZOFIA Z BRZOZÓWKI.

(Zofia z Chłopickich Klimańska).

Czy, podając teraz dopiero życiorys ś. p. Zofii z Chłopickich Klimańskiéj, zmarłéj w Warszawie 3-go czerwca, r. z., zgrzeszyliśmy i względem zgasłéj i względem naszych czytelników, przyznać się do tego nie możemy. Wiemy przecież, że zgaśnienie, czy ulecenie do nieba anioła, zostawiającego po sobie na ziemi najrzewniejsze wspomnienia, tak jest bolesnem, że każdy, ktokolwiek takiém samém jak my sercem zdolny jest uczuć poniesioną stratę, nie rzuci na nas kamieniem potępienia, nie uczyni nam wymówki, żeśmy w jakiéjś danéj konwencyonalnéj porze żałoby naszéj po téj stracie nie objawili, ale przytwierdzi nam, z całą szczerością przekonania: — że dotknięci ciosem tak niespodziewanym, potrzebowaliśmy pierwéj opamiętać się, ochłonąć nieco, by wielką boleść naszą słowy wypowiedzieć. — Rzeczywiście, my, co pochlubić się możemy, żeśmy żywot s. p. Zofii bliżéj poznali, my, co zasilani przez wiele lat jéj błogiemi natchnieniami i pracą, dzieliliśmy się zawsze i skwapliwie utworami jéj wzniosłego umysłu i serca z czytelnikami *Opiekuna Domowego*, my, powtarzamy, nie mieliśmy odwagi w pierwszych chwilach wspólnego nieszczęścia, rozwodzić się nad jego wielkością słowy, któreby pod żadnym względem serdecznemu żalowi naszemu i żalowi tych, którzy go szczerze podzielają, nie wyrównały. Oto jest prawdziwa przyczyna dotychczasowego milczenia naszego, milczenia, którém chcieliśmy jednocześnie uszanować ciężką boleść pozostałéj po niéj najbliższéj rodziny.



Zofia z Brzozówki.

Życie zgasłéj ś. p. Zofii z Brzozówki, może stanowić żywy, nauczający przykład dla naszych niewiast, pragnących wysokie zadanie swoje należycie pojąć, a pojąwszy, wypełnić tak chlubnie, jak ona je wypełniła. Dziwne bo też to było życie, którego fazy tak niezbadanie między sobą się plątały, jak niezbadaną bywa natura ludzka! Podając jego koleje naszym czytelniczkom, jesteśmy przekonani, że niemal każda, przypatrzywszy się bacznie ich przejściom i wybrawszy z nich najpiękniejsze chwile za wzór dróg własnych, pragnęłaby dosięgnąć ś. p. Zofii tam, gdzie ją rozum, serce poświęcające się dla społeczeństwa i święte poczucie obowiązków obywatelki zaprowadziły. Przechodziła ona z kolei dwie drogi. Pierwszą: na któréj ją urodzenie, wychowanie i towarzystwo, do którego należała, postawiły—drogę pełną blasku, swobody, przyjemności, o jakich tylko młoda dziewica, nie daléj jak do jutra sięgająca, zamarzyć może; drugą, pełną cierni, zawodów i boleści, przez którą sercem dojrzała niewiasta, pod kierunkiem rozumu i bacznego na każdy krok swój sumienia, dobijać się musi zakreślonéj sobie mety.

W pierwszéj młodości swojéj ś. p. Zofia, stąpała śmiało i wesoło lekkiemi stopy, jak większa część współczesnych owéj epoce jéj rówiennic, po samych rożach, boć i sama była jednym z najpiękniejszych kwiatów, na którego uroczą świetność natura i wszystkie okoliczności przyjaźnie się złożyły. Zdawałoby się, że kto raz takiego życia zakosztuje, nieprędko i niełatwo z jego słodkich więzów wyswobodzić się potrafi. Tymczasem ś. p. Zofia wtedy właśnie, kiedy samoistna pozycya w świecie najzupełniejszą zapewniała jéj swobodę, kiedy z całym zapałem mogła się rzucić w odmęt upragnionych przez młodość rozkoszy, nad wszelkie spodziewanie, możnaby powiedzieć, jakby czarodziejską różczką rozumnego *opamiętania* dotknięta, rozpatrzyła się nagle w tém co ją dotąd otaczało i z kobiety światowéj przemieniła się nagle w niewiastę chrześcijańską, niewiastę pracy, nie téj powszedniéj pracy, ograniczającéj swoje zadanie na troskliwém spełnianiu powinności, wyłącznie do tego lub owego stanowiska przywiązanych, ale pracy, któréj granice obejmują w sobie całą społeczność, a do któréj niezaprzeczony talent autorski, oraz najszlachetniejszemi dążnościami przepełnione serce ją powoływały.

Jak akta urzędowe świadczą, Zofia Klimańska urodziła się

r. 1819 w majątku dziedzicznym Furmaniszkach, powiecie Trockim, z ojca Franciszka Chłopickiego, podkomorzego kowieńskiego i matki Zofii z Miłejków. Pierwsze wychowanie pobierała w domu rodzinnym, pod kierunkiem matki, potém w Wilnie, przy boku ciotki, zajmującéj jedno z wyższych, w tamecznym wielkim świecie, stanowisk. Świetna, modna edukacya, nie tyle do praktycznego życia w odpowiedniéj sferze, tudzież do gruntownego ukształcenia rozumu i serca, ile do niezbędnego ówczesnym naszym kobietom ponętnego błyszczenia w salonach zastosowana — wysoka pozycya w towarzystwie, urocza piękność rozkwitającéj dziewicy, humor, dowcip, wabna żywość temperamentu, znakomity talent muzyczny, a nawet i niepospolita biegłość pędzla, zapewniały jéj pierwsze stanowisko, pośród kornie hołdującego tylu ponętnym przymiotom towarzystwa. Młodość, piękność czarującéj niezaprzeczonymi wdziękami kobiety, widzącéj zginające się u stóp swoich kolana najpoważniejszych nawet ludzi, nie chce, nie ma czasu myśléć o tém, czy najbliższy poranek nie zachmurzy tak uśmiechająco otwartego przed nią błękitu nieba, czy to jasne słońce, którego ona na ziemi żywym jest obrazem, nie odwróci swoich złotych promieni główce, którą dotąd tak wiernie swoją otaczało aureolą. Taką właśnie główką była ówczesna panna Zofia Chłopicka. I słońce nie odwracało się też od niéj bynajmniéj. Jednakże przyjść musi w życiu każdéj kobiety chwila, w któréj bądź z radością, bądź z żalem i takiéj nawet odurzonéj, nienieustającemi kadzidłami, główce, wypada pomyśléć o nieuniknioném jutrze, a po niém o dalszéj przyszłości. Przyszła więc taka chwila i na Zofię. Jakoż, obsaczona ze wszystkich stron, nękana wpływami i naleganiem najbliższych osób, oddała rękę człowiekowi którego ani kochać, ani szanować nie mogła, a który przedstawiając w położeniu swojém wszelkie rękojmie tak zwanego świetnego małżeństwa, nie umiał przecież, czy nie mógł zostać czém inném, jak tylko aż do śmieszności potulnym wielbicielem — poddanym swéj młodéj, zachwycającéj królowéj.

Taki związek szczęśliwym być nie mógł. Wszystko w nim okazało się gorzkim zawodem dla rozpieszczonéj przez świat dziewicy. Było to pierwsze, bolesne rozczarowanie w jéj młodém, niedoświadczoném życiu. Uczuła je też całém rozżaloném sercem, a uczuła tém żywiéj, że już w pierwszych niemal chwilach swego nowego niewieściego stanu, spostrzegła się jak czczą i pustą wewnątrz była moralnie ta cała przeszłość lśniąca najzłudniejszymi pozorami. Zdarzyło się jednocześnie, że w tejże saméj epoce, iż tak powiemy, zbawiennéj zadumy, to jest, około r. 1848, młoda kobieta spotkała na swéj drodze człowieka uposażonego tak wzniosłymi przymiotami, jakimi żaden z tych, którzy dotąd jéj osobę otaczali, poszczycić się nie był w możności.—Spotkanie to, wzajemne poznanie się i ocenienie dwóch, jakby dla siebie wyłącznie stworzonych istot, wywarło stanowczy wpływ na dalsze losy Zofii. Zbudzona z moralnego letargu, w jakim ją dotychczasowe położenie w świecie więziło, ocknęła się z gorącém pragnieniem zapełnienia téj odurzającéj czczości życiem wdzięczniejszém dla jéj świeżo wskrzeszonego ducha, rwącego się już odtąd wszystkiemi siłami do innego życia, do pracy odpowiedniéj jego szlachetnym, chwilowo tylko uśpionym popędom. Walka tego nowego pragnienia z zaciągniętymi bezmyślnie obowiązkami była krótka lecz ciężka. Ale, zapragnąć czegoś szlachetnego, czego rozum potępić nie mógł, i pragnienie to bezzwłocznie w czyn wprowadzić, w czynie zaś tym wytrwać aż do ostateczności, to było wybitną cechą męzkiego niemal pod tym względem charakteru ś. p. Zofii. Wdziękami, miękkością tkliwego serca, delikatném, ujmującém wszystkich zachowaniem, anielską słodyczą w znoszeniu ofiar, była ona kobietą w całém znaczeniu tego wyrazu; ale z drugiéj znowu strony—siłą rozumnéj woli, stałością niezmiennego postanowienia, pracą, która wytrwałością swoją częstokroć w otaczających ją podziw i zdumienie wywoływała, była istnym mężczyzną wiary i chrześcijańskiego poświęcenia dla wszystkiego co jéj wielka dusza ukochała, co jéj serce, nie tylko dla szczęśliwych wybranych jednostek, ale dla całego społeczeństwa, wiecznie żywém tętnem bijące, co wreszcie dojrzały rozum miłować jéj zalecały. I ś. p. Zofia zapragnęła tego nowego życia, a zapragnąwszy i wszedłszy na jego ścieżki, umiała już w nich wytrwać nawet kosztem najboleśniejszych ofiar, aż do ostatniego kresu swojéj ziemskiéj pielgrzymki.

Może nas kto z naszych czytelników zechce posądzić o pewną niekonsekwentność w takiém jak wyżéj naszkicowaniu główniejszych zarysów dwóch epok życia, naszéj niegdyś współpracowniczki. Bo jakże to niby pogodzić dwa tak różnorodne obrazy jednéj i tejże saméj kobiety? Na pierwszym, rysujemy ją jakąś młodą, światową pięknością, żyjącą tylko blaskiem, przepychem salonowym, otoczoną natrętnym tłumem wielbicieli, nie widzących w niéj nic więcéj nad powabną postać i śliczne talenta, jak to wówczas mówiono. Na drugim znów, przedstawiamy ją odrazu, bez żadnego prawie historycznego przejścia, jako niewiastę zupełnie niepodobną do tamtéj, jako niewiastę pełną tych wszystkich zalet wewnętrznych i przymiotów, jakiebyśmy w każdéj naszéj żonie, siostrze i córce widzieć pragnęli. Czy podobne zestawienie dwóch tak odmiennych od siebie obrazów, może być wierném odbiciem jednéj i tejże saméj postaci? Odpowiadamy, że może niém być niezaprzeczenie wtedy, kiedy ta postać, mimo zewnętrznych okoliczności, których wpływowi uledz niekiedy jest przymuszoną, posiada serce i duszę podniosłą, i kiedy to serce i dusza silną wspierane wolą, a kierowane rozumem cnoty, zdołają w rozmaitych przejściach ludzkiego żywota zachować niepokonaną energię i hart. Właśnie ta potęga serca i duszy ś. p. Zofii, pozostała w niéj nienaruszoną. Ani świat i jego stosunki, ani wpływy lekkomyślnego ówczesnego towarzystwa, w jakiém ją urodzenie postawiło, mimo wszelkich ułudnych pokus swoich, nie starły z nich téj barwy zacności, w jaką je pierwotne wychowanie domowe oblekło i któréj najpilniejszym stróżem były późniéj rozum i cnota. Właśnie dla tego przyszło ś. p. Zofii z taką łatwością przerzucić się z jednego do drugiego obozu, przemienić się z kobiety światowéj na niewiastę chrześcijańską i życiem swojém, w téj ostatniéj postaci, zasłużyć sobie na powszechną cześć i uwielbienie.

Zerwawszy, bez żadnego dłuższego namysłu, krępujące ją węzły, ś. p. Zofia, wbrew potępiającéj ten śmiały postępek opinii świata, nie chcącego, albo raczéj nie umiejącego pojąć, że dla kobiety wyższego nastroju duchowego, nie wystarczają jeszcze ani złocone salony, strojną obsługiwane liberyą, ani bogate karety, ani tłum wielbicieli jéj talentów, dowcipu i wylanéj dla wszystkich serdecznéj gościnności, wspaniale urządzonego domu, opuściła dobrowolnie swoje pozornie tak świetne stanowisko — i — jednocześnie rozpocząwszy sprawę o rozwód, zamieszkała, wraz z nieodstępną od jéj boku matką, w Wilnie.

W cztery lata późniéj, matka Zofii zadzierżawiła wieś Dydeliszki, odległą o ośm mil od Dynaburga i tam wraz z córką stale osiadła.

Nakoniec, ś. p. Zofia po otrzymaniu wiadomości o zgonie, uporczywie dotąd odmawiającego rozwodu, pierwszego męża, została uświęconą małżonką, serdecznie bo najwznioślejszemi uczuciami pierwszy i ostatni raz w życiu swojém kochanego człowieka, tego samego którego już dawniéj odróżniała od innych w towarzystwach, dziedzica Dydeliszek, p. Napoleona Klimańskiego.

(dok. nast.)

FRASZKA.

Z okrawków atłasowych różnego koloru,
Figlarna Zosia wycinała kwiatki,
Jedne do lilij podobne z pozoru,
Inne jak róże, inne jak bławatki.
Gdy kilka miała gotowych,
Zrobionych bardzo misternie,
Powzięła zamiar godny swych ząbków perłowych...
Uradowana niezmiernie,
Biegnie do klombu i tam dla zabawki,
Zawiesza kwiatki swoje na łodyżkach trawki.
Wtém biedny motyl spragniony,
Prześladowany przez bąki i muchy,
Widzi lilii kielich pochylony...
Spada po kroplę soku... patrzy—kwiatek suchy...
Więc pomyślał: ach, żarcik to trochę okrutny!
I poleciał gdzieś w pole, znękany i smutny.

Kto z ludźmi robi czasem podobną igraszkę,
Niech powie: moja wina! czytając tę fraszkę.

RADA POECIE.

Jeżeli chcesz być wieszczem bratnich ciżb,
Rzuć ckliwość gruchań, mądrość liczb,
Zdawkowych poziom wyobrażeń,
A stań się słowem wielkich wrażeń.

Niezdarne tylko lub nikczemne słowo,
Miłośnie kwili dzisiaj u nóg tłumu,
Jak odaliska bez czci i rozumu...
Natchniona pieśń, gdy zabrzmi—to surowo,
Lub milczy po królewsku—z orła dumą,
Gdy otchłań błysków lśni mu po nad głową...

Leonard Sowiński.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,

1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(*Dalszy ciąg*).

Rumuni stanowią dość ważny element w Ks. Serbskiém. Wyemigrowawszy z rodzinnego kraju, w różnych epokach, osiedli głównie w dwóch okręgach: *Pożarewaskim* i *Kraińskim*, i zajmują wogóle obszar kraju, zawarty między rzekami: *Dunajem*, *Morawą*, *Cérną Reką* i *Timokiem*. Liczy się ich do 120,000. Cała ta ludność sympatyami swemi ciążąca do Rumunji, jest nietylko obca interesom Serbji, ale pod wielu względami jéj niebezpieczna, choćby dla tego, że niechętna. O téj niechęci świadczy najlepiéj ta okoliczność, że żaden Rumun, chociażby znał jak najdoskonaléj, mówić po Serbsku nie będzie. Z Serbami rozmawia przez tłumacza; zmuszony okolicznością, będzie cedził z niechęcią, jakby to mu trudność sprawiało. Z powodu téj zaciętości, z jaką trzymają się swéj narodowości, oddziaływają oni na serbską ludność w sposób szkodliwy, osłabiając narodowe ich żywioły. Znany to fakt, że *Zadruga* *), charakterystyczna cecha południowych Słowian, została zatraconą wśród Serbów, stykających się z ludnością rumuńską, która *zadrugi* nie zna. Rumuni głównie zajmują się pasterstwem. Pod względem moralnym o wiele niżéj stoją od wieśniaka Serba.

Kraiński okręg, do którego należy Milanowac, liczy się do najbogatszych w Serbji i sławny jest ze swych win. *Kraina* nazywa się u Chorwatów i Serbów ziemia pograniczna, tak jak np. Ukraina, a w Austryi pogranicze wojskowe. Obecnie pod tą nazwą rozumiane są dwie prowincye w Serbji: *Kraina* w Księztwie Serbskiém i *Kraina* w Bośni. *Kraina* serbska dzieli się na 4 obwody (srezy): Kraiński, ze stolicą Negotin; Berza-Palancky, z miastem Berza-Palanka; Kljuczski, z m. Kladowo i Porjecko-Rjecki, z m. Milanowac. Od tych dwóch *Krain* odróżnić należy księztwo Krainy, po niemiecku *Krain*, a w miejscowym słoweńskim języku *Krainsko-Wojwodstwo*, wchodzące w skład cesarstwa Austryackiego, a będące jedną częścią dwóch gubernij Królestwa Illyryjskiego, z miastem stołeczném *Lublana* (Laibach), posiadającém 20,750 mieszkańców, którego widok podajemy tu czytelnikom na ostatniéj stronnicy.

II.

Droga do Majdan-Peku. Majdan-Pek.

Juljusz Słowacki w swéj *podróży na wschód*, daje następujący opis noclegu, spędzonego w jakiejś tam mieścinie greckiéj nad brzegiem morza:

...były łóżka... jeśli kto nie wierzy,
Tłumaczę jaśniéj—to, na czém się leży.
Ach, leży tylko!—bo wszystkie zefiry
Zbiegły się do nas i wiatr z nami pląsał;
A dar krosienek, jako Dejaniry
Koszula—gdzie się go dotkniesz, tam kąsał!
Ach! jam się dotknął—i ogień mię złapał,
I byłem w piekle...

Gdyby kto z szanownych czytelników lub czytelniczek, naturalnie, jeżeli te ostatnie znajdą się dla owego rozdziału drugiego, o którym tak źle ich uprzedził rodzony jego braciszek, rozdział pierwszy, swą niewczesną archeologiją,—gdyby więc kto był ciekawym wiedzieć, jakiego też rodzaju ja miałem nocleg w najlepszéj *mehanie* miasteczka *Milanowca* z dnia 5 na 6 września 1869 r., nie pozostałoby mi nic lepszego do zrobienia, jak zalecić interesującym się tym przedmiotem osobom, powolne i uważne odczytanie zacytowanego powyżéj ustępu z poematu J. Słowackiego, którego każde słowo maluje z taką dosadnością całą donosłość fizycznych cierpień, jakim człowiek podlega w podobném położeniu.

Zdenerwowany bezsennością, znużony bezskuteczną walką z napastniczymi i niczém nie dającymi się ani rozbroić, ani ułagodzić owadami wszelkiego gatunku, jak tylko świtać zaczęło, zrywam się z prokrustowego łoża męczarni, pragnąc najprzód zobaczyć co się dzieje na bożym, jak to mówią, świecie, a następnie, jak najrychléj pożegnać nazawsze Milanowac z jego *mehaną* i miłym a uprzedzającym gospodarzem, całą usłużność swoję odkładającym zwykle do fatalnego *jutra*.

Zbliżam się do okna, przecieram całą warstwą pyłu przykrytą taflę, mającą pozór szkła matowego, wyglądam... niestety!... boży świat wcale nie po bożemu wygląda. Jak okiem zajrzeć, szara, kłębiąca się, niby olbrzymia masa dymu. Chmury przewalają się tuż nad ziemią, zakrywając sobą niebo, góry i zostawiając tyle widokresu dla oka ludzkiego, ile potrzeba na to, by przy spotkaniu się nos sąsiada N. nie zetknął się z nosem sąsiada Z. Deszcz niezawodny, jak amen w pacierzu... A! to prawdziwe nieszczęście! I co tu począć w téj przygodzie? O dalszéj podróży bowiem w czasie słoty, ani myśleć nawet można. Nie dość bowiem, że zostając godzin dziewięć na deszczu, przemoknie człowiek do nitki, że będzie wyglądał jak suseł, i co gorzéj jeszcze, spotka się gdzieś w drodze z ciocią febrą, która niechętnie opuszcza raz przydybaną ofiarę swego przywiązania, ale nadto, odważając się na podróż do Majdan-Peku w taką porę, trzeba być przygotowanym na ewentualne—złamanie karku. Jeżeli bowiem słuszną jest głęboka uwaga Szekspira, że wiele jest rzeczy na tym świecie, o których się nie śniło naszym filozofom, to jeszcze słuszniejszą będzie uwaga, jaką ja zrobię, że na drodze do Majdan-Peku z Milanowca, wiele jest rzeczy, o jakich się nie śniło nawet naszym inżynierom, mówiąc o tych, których znałem na Rusi. Do takich właśnie nadzwyczajnych, czy nadprzyrodzonych rzeczy, potrzeba zaliczyć mostki, zawieszone nad przepaściami kilkaset stóp głębokiemi, które że się trzymają i wytrzymują na sobie ciężar przejeżdżających powozów, tego za pomocą żadnéj teoryi mechanicznéj wytłumaczyć nie można, a można chyba pojąć jako cud, zaliczając go na rachunek opatrzności, bez któréj włos z głowy człowieka nie spadnie.

Nie mogąc puszczać się w dalszą podróż, mamże zostać jeszcze na jednę noc w Milanowcu?... zostać?... chyba na to, ażebym w końcu, jak nieboszczyk król Popiel, przez myszy został pożarty... o! hańbo!... przez pchły i pluskwy!...

Brrr... dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o podobnie haniebnéj śmierci. Lecz co począć, co począć? Oto jest pytanie, jak powiada Szekspir, a raczéj Hamlet, w swym monologu, zaczynającym się od kategorycznego zapytania: *być czy nie być?* Jechać czy zostać? Nie sążto dwa pokrewne sobie zapytania, w każdym razie, tożsamością sytuacyi psychicznéj? — a więc rzucać się w objęcia nicości?... Jechać? — a więc narażać się na prawdopodobną śmierć, a przynajmniéj kalectwo, tém prawdopodobniejsze, że nie mógłbym korzystać z dobrodziejstw opatrzności, naprawiających błędy inżynierów drogowych, dla téj prostéj przyczyny, że w tego rodzaju opatrzność nie wierzę!? Zostawać?—a więc skazywać siebie na śmierć nieruchomą?

Każdy zgodzić się musi, że była to sytuacya, która zdolną była nawet człowieka najmniéj uzdolnionego do umysłowéj roboty, uczynić choć na jednę chwilę filozofem.

Jakoż, przez całe pięć minut byłem filozofem w całém tego słowa znaczeniu, mianowicie tak długo, aż wiatr, wchodząc przez szpary w oknie a wychodząc przez takież, lub cokolwiek większe szpary we drzwiach, nie sprowadził do równowagi rozdwojonych żywiołów mego organizmu, udzielając mu naraz sporą dozę chłodu, który mi przypomniał, że najprzód niewygodnie jest stać na środku pokoju, bez tego wszystkiego co się zowie obuwiem i odzieniem, a powtóre, że żadne wysilenie mego mózgu do pozytywnych rezultatów mię nie doprowadzi, o czém dostatecznie mnie przekonywało długoletnie doświadczenie, znajdujące zazwyczaj jedyny ratunek we wszel-

*) *Zadruga*, jest to rodzina—familja, mieszkająca pod jednym dachem.

kich wątpliwościach—w węzełkach albo w spuszczeniu się na — *jakoś to będzie*.

Wypełniwszy kamerdynerski względem samego siebie obowiązek, czyli poprostu mówiąc, ubrawszy się, wychodzę na kurytarz, w nadziei spotkania się z inżynierem, z którym z wieczora zrobiłem znajomość. Znajduję go w sali gościnnéj.

— *Dobro jutro, gospodynie! kakoste spavali?*

Odpowiedziawszy na powitanie właściwą w tym razie grzecznością, powiadam:

— *Czynimi se, da danas kisza cie padat'*. (Zdaje się, że deszcz dzisiaj będzie).

— *Ne majte se plavsit', gospodynie!* (Nie obawiaj się pan), odpowiada mi inżynier, to są zwyczajne mgły, które nad ranem tworzą się wzdłuż Dunaju. Nim pan wyjedziesz, pogoda zrobi się najpiękniejsza.

Uradowany takiém zapewnieniem miejscowego człowieka, zwracam się do gospodarza, zapytując czy ma dla mnie konie?

— Konie są gotowe, wnet zajadą przed ganek, była odpowiedź szanownego gazdy, który tą razą o *jutrze* nie wspomniał.

Posiliwszy się czémś, co w oficyalnym języku gospodarza zajazdu nosiło nazwę kawy z mlekiem, wychodzę na ganek, przed który właśnie zaszły konie zaprzęgnięte do wózka węgierskiego; przed wózkiem stoi *koczyjasza* (furman), z miny i z czupryny, a raczéj co będzie właściwiéj, z *szubary* (czapka barania) Rumun prawdziwy, czyli jak ich zowią Serbi, *Wlach*.

Zwracając się do niego, zapytuję, co żąda do Majdan-Peku?

Za całą odpowiedź spojrzał na mnie z podełba, wyjął fajeczkę z zębów, splunął i mruknął pod nosem: — *nusztin serbeszte* (nie umiem po serbsku).

Tam do djabła! z niemową jakąś przyjdzie mi cały dzień w podróży spędzić. Wołam gospodarza, który był także Rumunem, ażeby zechciał być tłumaczem naszym w ugodzie.

Gdy targ został dobity, oświadcza mi gospodarz, że w każdym razie nie pierwiéj, aż za pół godziny będę mógł wyjechać, wprzód bowiem musi furman jechać jeszcze na drugi koniec miasta, dla zabrania beczki z winem?

— Jakto beczki z winem?— zawołałem o tyleż przestraszony co i zdziwiony.

— A tak! musi zabrać beczkę z winem, po którą właśnie został przysłany, odpowiada mi z obojętnością, godną lepszéj sprawy.

— Czyś ty oszalał, mój drogi gazdo? Jakże mógłeś mi dawać podobnego rodzaju podwodę? Nie chcę jéj, dawaj mi inną.

— Innéj nie mam i dziś pan innéj w Milanowcu nie znajdziesz; ale jeżeli pan zechcesz zaczekać do jutra?...

— Niech cię jasny piorun trzaśnie z twojém jutrem!—zawołałem po polsku, wiedząc z góry że szanowny mój gospodarz zaklęcia tego nie rozumie. Zrobiłem to więcéj dla wprawy, jak przez ostrożność. Ostrożność bowiem, jaką potrzeba przestrzegać w stosunkach z Serbami, co do słów i oznak, za pomocą których zwykliśmy objawiać gniew swój, w odniesieniu do Rumunów byłaby zbyteczną. Wieśniak serbski z najgłębszego zakątka kraju, ma już wyrobione poczucie obywatelskiéj godności i w kaszę napluć sobie nie pozwoli. Co się tyczy Rumuna, ten na razie zniesie wszystko, ale za to przy zdarzonéj okoliczności, cichaczem i zdradziecko zemści się.

Nowa ta a niespodziewana okoliczność, zbiła mię znowu z tropu. Co tu począć? Jak tu na jednym wózku z beczką wina odbywać podróż? To nieprzyzwoicie, jak na porządnego człowieka. A kto jeszcze wie, jakiéj jest wielkości owa przeklęta beczka, czy nie wypadałoby naśladować w tym razie bożka Bachusa, albo bliższego nam co do czasu i pochodzenia Radziwiła, panie kochanku, który siedząc na beczce, odbywał wjazd tryumfalny do wileńskiego klasztoru? Lecz obaj ci panowie, t. j. Bachus i Radziwił, robili podobnego rodzaju przejażdżkę po pijanemu. Lecz na trzeźwo... mnie... nie, ja się na to nie odważę...

Medytacyą moję dość rozpaczliwą przerywa gospodarz zapewnieniem, że beczka niewielka, że da się ona umieścić w tyle wozu i że będę mógł plecami oprzeć się o nią.

Oświadczył mi nareszcie, że on sam, gazda najlepszéj mehany w mieście Milanowcu, przypilnuje, ażeby siana było dość w wózku i żeby był dobrze wymoszczonym.

Za to zapewnienie a szczególniéj oświadczenie pełne chrześcijańskiéj życzliwości, byłbym uściskał szanownego gazdę najlepszéj mehany w Milanowcu, gdyby nie to, że ściskać w ogóle i w szczególe — nie lubię. Ograniczyłem się więc tylko na serdecznem mu podziękowaniu.

W oczekiwaniu na powrót furmana z jego wyprawy po beczkę, wchodzę do sali zajazdu. Zastaję tam towarzyszkę méj dunajskiéj argonautyki, szanowną rumunkę, z jasnowłosém dziewczątkiem.

— A, bon jour, Monsieur...

— Bon jour Madame, i t. d.

— Prędko pan odjeżdżasz?

— Najdaléj za pół godziny.

— O! co za szkoda! ja myślałam, że razem podróż tę będziemy odbywać. Droga tak pusta, samotna... jechać saméj tak nudno... Zatrzymaj się pan z godzinę, a pojedziemy razem.

Propozycyi téj towarzyszyło spojrzenie, które zrobiło na mnie wrażenie dotknięcia się żaby zimnéj. (d. c. n.)

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Szalborski, który widział się już zupełnie pokonanym, a z twarzy méj i straszliwéj determinacyi przekonywał się, że się poważę na wszystko, jęknął ze zgrzytem wściekłéj niemocy:

— Tak!

— I trzymam mu stopę na gardle, jak gadzinie... Mości Szalborski, czy tak?

— Tak'—potwierdził, pieniąc się powalony.

Słyszycie panowie?... Otóż zważcie: przysięgam wam na mój honor szlachecki, że jeżeli natychmiast nie odstąpicie od drzwi i nie zostawicie mnie w spokoju, strzelę mu w łeb bez pardonu!

Nie odpowiedziano mi nic na te słowa. Słyszałem za drzwiami tylko cichy szept, jakby naradzanie się. Potem nagle drzwi zaczęły trzeszczeć nanowo, a wśród łomotu usłyszałem także jak niektórzy rzucili się do okien, aby inną stroną przyjść w pamoc Szalborskiemu.

Byłem zdecydowany na wszystko.

— Boże, wzywam cię na świadka—zawołałem—jako zmuszony jestem dopuścić się tego zabójstwa!

I przychylając lufę pistoletu do czoła Szalborskiego, rzekłem mu tonem stanowczym i zrezygnowanym:

— Gotuj się na śmierć!

Żal się snać zrobiło gagatkowi życia.

— Litości! człowieku!—zawołał—ja sam ich uspokoję!

— Panowie! ja was sam proszę, ustąpcie. Ratunek wasz zgubi mnie! Ten człowiek mnie zabije!

— Jego i pierwszego z was, który głowę tu do mnie wychyli. A reszta w ręku Boga!—dodałem stanowczo.

Mając tym sposobem zabezpieczoną bodaj chwilkę czasu, gdyż towarzystwo znajdujące się w drugim pokoju, straciwszy snać wskutek prośby Szalborskiego zupełnie kontenans, nie dawało znaku życia, odtroczyłem mocny sznur od burki i rzemień od szabli i rzekłem do mego jeńca:

— Przebacz mój ty panie młody, że się do reszty zapewnić muszę przed tobą. Ale kto tak jak ja ma do czynienia z całą zgrają, musi być ostrożnym.

I nie zważając na opór młodego Szalborskiego, skrępowałem mu silnie ręce i nogi.

Zgrzytał zębami z wściekłości i pienił się — ale nic to nie pomogło. Skrępowanego odsunąłem w kąt i nie odmówiłem sobie téj mściwéj satysfakcyi, aby mu rzec:

— Otóż tobie gody weselne, paniczu!

Dopiero teraz odetchnąwszy wolniéj, przypadłem do mojéj Helenki.

Nie była ona świadkiem całéj téj awanturniczéj sceny. Kiedy tylko ujrzała, jak się moja szabla skrzyżowała z szpadą Szalborskiego, zemdlała ze zgrozy i przerażenia... Panna Kokorzyńska zamiast ją ratować, skryła się w najlepszy kąt izby, i na pół nieżywa, od czasu do czasu tylko wydawała jęki śmiertelnego przestrachu.

Kiedy zbliżyłem się do Helenki, zastałem ją bez duszy, bladą jak marmur, zastygłą od lęku okropnego i głębokich wzruszeń.... Uchwyciłem ją za dłonie—były zimne i jakby martwe, spoglądałem w twarz, oczy były przymknięte...

— Heleno moja! Najdroższa Heleno! — zawołałem, ujmując jéj dłonie.

Nie otrzymałem odpowiedzi, pierś Helenki nie poruszyła się najlżejszém nawet tchnieniem.

— Panno Agnieszko! Na miłość Boga — zawołałem w rozpaczy — toż ratuj ją pani... Wszakże widzisz że ginie!

I pobiegłszy do panny Kokorzyńskiéj, która patrzała na mnie wzrokiem zastraszonym i osłupiałym, jakby na upiora, chwyciłem ją za ręce i przyciągnąłem siłą do Helenki.

— Litości! litości! — wołała panna Agnieszka, która widocznie postradała zdrowe zmysły z przestrachu i nawet mnie nie poznała.

Puściłem ją i zrozpaczony rzuciłem się do nóg Helenki, tuląc dłonie jéj w moich i okrywając ją gorącymi pocałunkami.

— Helenko! ozwij się na Boga! — wołałem — Helenko moja, to ja, Józef!

Snać głos mój, wydobywający się z głębi zrozpaczonego serca, i te pocałunki, którymi chciałem własną duszę, własne moje życie przelać w zemdlałą — podziałały skutecznie, bo ku niezmiernéj méj radości, zdawało się mi że widzę jak pierś jéj poczyna się wznosić lekkim, dojrzanym zaledwie oddechem.

— Masz tobie także gody, złoczyńco! — zasyczał z podłogi Szalborski — zabiłeś ją!

— Tyś ją zabił, łotrze, — zawołałem, posyłając mu spojrzenie pełne oburzenia i nienawiści.

— Ja kocham ją bardziéj niż ty opryszku — odpowiedział stłumionym głosem mój rjeniec — I ona mnie!... Dobrowolnie rękę mi swą oddać chciała!



Most na skałach w Krainie. (Str. 107).

Słowa te raziły mnie okropnie. Całe piekło rozszalało się w mojéj duszy. Porywając dłonie Helenki gwałtownie, zawołałem strasznym głosem:

— Helenko! Czy ty słyszysz? Obudź się choć na chwilkę, ożyj choćby na to, aby powiedzieć temu łotrowi, że podle kłamie!

Przeraźliwym głosem moim i nagłém szarpnięciem obudzona Helenka, otworzyła oczy, spojrzała nawpół zgasłém okiem na mnie, zadrżała, zachwiała się znowu i z jękiem zawołała:

— Józef!

— Tak — to ja, Józef twój, Helenko! — wołałem jak szalony — poznajesz mnie, najdroższa!

— Nieszczęśliwy — szepnęła słabym a pełnym trwogi i boleści głosem Helenka — ratuj się!...

— Helenko, ja tobie ratunek niosę! — mówiłem — uspokój się, przyjdź do siebie! Jesteś moją znowu!

— Ja ci przebaczam... panie Józefie!... — szepnęła — uchodź, ratuj się!

Osłupiałem.

— Ależ na miłość Chrystusa, Helenko! — zawołałem po małéj chwilce — cóż mi masz przebaczyć!...

— Wiem o wszystkiém..... Zdradziłeś mnie, pojąłeś inną... Czego żądasz odemnie? Splamiłeś dłoń twoję zbrodnią, uciekasz wprost z więzienia zapewne.. Będą cię ścigać, schwycą cię... O, ratuj się Józefie, to jedyna moja prośba!

— Helenko! — zawołałem wtedy — to wszystko fałsz, kłamstwo ohydne! Oszukano cię zdradziecko! Patrz, przysięgam ci na Boga, na pamięć mego ojca, jam ten sam Józef twój, niesplamiony

ani zdradą, ani zbrodnią żadną! Uspokój się, dowiesz się o wszystkiém!

Zwróciłem się do młodego Szalborskiego i krzyknąłem z wściekłością:

— Infamisie, odszczekaj mi natychmiast to wszystko! Powiedz, żeś skłamał, powiedz natychmiast, wyznaj!

I rzuciłem się ku niemu, tracąc prawie przytomność od srogiego gniewu.

Szalborski zwinął się jak wąż na ziemi, ale uprzedzając moję furyą, rzekł w rozpaczy:

— Skłamałem, wyznaję.

— Słyszysz Helenko! — zawołałem — to wszystko potwarz! O uchodź ze mną, wszak widzisz, ja życie moje rzucałem na azard dla ciebie!

Oczy Helenki błysnęły żywiéj, nachyliła się ku mnie z słabym krzykiem radości. Ująłem ją ramieniem i tuliłem do bijącéj méj piersi.

— Boże! to sen był straszny! — zawołała Helenka — Józefie, uchodźmy!

Nie dałem sobie tego powtórzyć. Czas był najwyższy, aby wydostać się na ulicę z drogą zdobyczą.

Ale jakże to uczynić? Czy opuszczę dom bezpiecznie z Helenką, czy nie czeka mnie zasadzka, czy nie knują co towarzysze Szalborskiego?

Nadsłuchiwałem chwilę. W drugim pokoju było cicho. Był to znak widoczny, że wynieśli się milczkiem na podwórze i ztamtąd zapewne chcieli mnie otoczyć i dostać. Lecz na cóż się zdały rozmyślania? Jak zacząłem, trzeba było skończyć. Czując pierś Helenki bijącą u méj piersi, nabrałem niczem nieustraszonego, szalonego męztwa... Srogi mnie tylko kłopot ogarnął, co począć z taką zawadą, jak panna Agnieszka, która jednak na szczęście przyszła już nieco do siebie.

— Panno Agnieszko—zawołałem wtedy—jeżeli nie chcesz zostać sama jedna w téj zbójeckiéj jaskini, to bądź panna odważną. Trzymaj się mnie i Helenki!

Machinalnie usłuchała panna Kokorzyńska i drżąc jak listek chwyciła się méj poły. Ja zaś ująłem silnie jedném ramieniem Helenkę, w drugą chwyciłem pistolet i trzymając go w pogotowiu, posunąłem się śmiało ku oknu.

— Hola! stój braciszku!—usłyszałem nagle wykrzyk.

Spojrzałem w okno. Stało przed nim kilka ciemnych postaci. Byli to towarzysze młodego Szalborskiego, którzy jak w pierwszém zamieszaniu potracili głowy, tak późniéj wpadli na pomysł wysunąć się milczkiem z dworku i zrobić na mnie zasadzkę u okna.

Widok ich nie strwożył mnie.

— Dobrze! Hola panowie! Jest was kilku na jednego! — zawołałem śmiało—ale ten jeden za nic sobie śmierć waży, jeżeli tego potrzeba! Padnę ja, ale dwóch z was niech się na śmierć także rezygnuje!

I wymierzyłem do nich pistolet.

— Na bok! bo palnę!

Zawoławszy tak, śmiało rzuciłem się ku oknu, trzymając Helenkę silnie lewém ramieniem.

Nie tędzy byli śmiałkowie; umknęli w tył nieco i przystanęli o kilka kroków. Nie bałem się już tych, których miałem na oku, ale nie byłem pewny, czyli u muru pod oknem nie czatują inni ukryci.

Postanowiłem tedy wypaść najpierw sam na podwórze a Helenkę i pannę Agnieszkę zostawić w pokoju. Chciałem tym sposobem odbyć rekonesans i utorować sobie drogę, abym był pewniejszy, gdy mi przyjdzie przeprawić się z obiema kobietami.

— Helenko!—szepnąłem—zostań na chwilkę! Nie trwóż się, nie grozi ci niebezpieczeństwo!

Helenka, która drżała w mych ramionach, jak zalękniona ptaszyna, odrzekła cicho:

— Drżę o ciebie Józefie!

— Nie dam się, bądź spokojną! Ale ty nabierz odwagi i siły, abyś natychmiast, na dany znak, przechyliła się do mnie przez okno!

— Dobrze—szepnęła Helenka silniejszym głosem...

Kazałem teraz odstąpić kobietom od okna, bo obawiałem się aby nie padł strzał ku mnie, i z pistoletami w obu dłoniach wyskoczyłem z okna. Rzuciłem się umyślnie z wielkim zamachem i pędem, aby w dużym skoku minąć tych, co mogli być ukryci pod murem i tym sposobem uniknąć napadu z boku.

Widząc mnie szalenie rzucającego się naprzód, ci co byli przedemną cofnęli się co prędzéj... Nie mieli też żadnéj palnéj przy sobie broni, bo nie dano do mnie ognia.

Obawy moje nie były płonne; po obu stronach okna, przyczajeni pod murem, stali dwaj towarzysze Szalborskiego. Obaj byli uzbrojeni w szable, a jeden z nich był oficer jakiś. Byłem w wielkiém niebezpieczeństwie, gdyż znalazłem się z dwóch stron osaczonym. Od okna oddzielali mnie obaj zbrojni, w tyle czekała reszta.

Byłbym też z pewnością nie dostał się napowrót do okna i do Helenki, gdyby przeciwnicy moi lepiéj byli się wzięli do mnie, a mianowicie, gdyby owi dwaj zostali byli przy oknie...

Ale na szczęście mniemali, że zamyślam sam uciekać, i ci dwaj z zasadzki zamiast mi odciąć drogę od okna, czego się najbardziéj obawiałem, rzucili się za mną z szablami, opuszczając swoje stanowiska.

W mgnieniu oka włożyłem jeden pistolet za pas, a ująłem szablę, gotując się na przywitanie. Gdy ci tak z impetem lecą ku mnie, a ich towarzysze z hukiem z tyłu przypadają, ja jak piskorz się skręcam i jak w tańcu zawrotem sadzę ku oknu, paląc z pistoletu raz na oślep.

Tym sposobem udało mi się stanąć znowu przed oknem. Oparłem się teraz o ścianę i wydobywając drugi pistolet, wymierzyłem go ku moim przeciwnikom, których już teraz miałem wszystkich przed oknem.

Było ich pięciu razem.

— Nie tak źle!...—pomyślałem.

I zwracając się ku oknu zawołałem:

— Do mnie Helenko, do mnie! Śmiało przez okno!

Helenka natychmiast skoczyła przez nizkie okno na podwórze ku mnie, a panna Kokorzyńska z desperacyi na taki zdobyła się rycerski heroizm, że bez pomocy, tuż za nią stanęła na dole.

Stanąłem przed niemi, zasłaniając je piersiami, a nie spuszczając pistoletu począłem się zwolna posuwać naprzód.

— Na ustęp!—zawołałem—moi panowie, przysięgam na Boga, kto mi drogę zastąpi, temu łeb kulą roztrzaskam... a strzelę lepiéj niż pierwszą razą!

I znowu postąpiłem daléj, chcąc cofać się ku drugiéj części podwórza.

Przeciwnicy moi nietęgiego byli animuszu i zaraz cofać się zaczęli. Ale ów oficer, który był między nimi, snać przenieść tego nie mógł na sobie, aby tak podać tył przed jednym człowiekiem, zakłął tedy po węgiersku i zawołał:

— Za mną panowie! Niech strzela, ja idę pierwszy, wy za mną!

I śmiało rzucił się ku mnie ze szpadą, a inni tuż za nim.

Nie było innéj rady, jak tylko dać ognia. Wymierzyłem do nóg oficera, chciałem go zranić tylko i obalić. Byłbym pewnie nie chybił, bo strzelcem byłem dobrym, ale w téj chwili Helenka w przystępie trwogi uchwyciła mię właśnie za prawe ramię.

Strzał padł, ale nie ugodził nikogo.

Nuż tedy, nabrawszy odwagi, wszyscy kupą na mnie.

Pozostała mi do obrony szabla tylko. Opór stawić mógłem przeciwnikom moim nawet bardzo długo i oto się wcale nie troszczyłem. Ale tu nie chodziło o samą obronę, trzeba się było wydostać przebojem i to z dwiema śmiertelnie zalęknionemi kobietami.

Zwątpienie mnie ogarnęło. Postanowiłem przecie, bądź co bądź, tentować powtórnie wstępną walkę, a w ostatnim razie nawet dać się zabić...

Moi przeciwnicy, z których trzech uzbroiło się w dorwane zkądeś na prędce koły i pałki, rzucili się na mnie hurmą. Już zagwizdały koły w powietrzu, tuż przed moją szablą, gdy oto nagle daje się słyszeć okropny łomot przy parkanie, jak gdyby go kto taranem chciał pogruchotać, a potém rozlega się straszliwy krzyk:

— Trzymaj się Józefie! Nie daj się! Idziemy w sukurs! Hurra chłopcy, za mną! Posiekać tych łotrów!

I nagle błysnęło nad parkanem—i dwa strzały, jeden po drugim, rozległy się.

Zdumiałem się niesłychanie co to za pomoc, bo chyba z nieba spaść mogła... Na szturmujących na mnie przeciwników zrobiło to jeszcze większe wrażenie. Ten nagły łomot, ten okrutny głos i te dwa strzały przeraziły ich niesłychanie. Nie dostali ani chwilki. W jedném mgnieniu oka rozbiegli się na wszystkie strony, umykając co im nóg i tchu stało, jakby już istotnie każdemu z nich stał nad karkiem okropny nieprzyjaciel...

Nie miałem czasu myśleć nad tém, coby to za cudowny był sukurs, i nie czekałem też na zagadkową odsiecz, ale chwytając co prędzéj Helenkę pod ramię i wołając na pannę Agnieszkę, aby spieszyła za nami, pobiegłem hyżo ku tylnemu podwórzu.

Zastałem tu dwa powozy próżne, te same które przywiozły młodego Szalborskiego i jego towarzyszy. Woźniców nie było przy nich, bo na huk strzałów i na wrzawę wybiegli za dom, aby zobaczyć co się dzieje i nieść pomoc swym panom.

Wsadziłem coprędzéj Helenkę i pannę Kokorzyńską do jednego z powozów i roztworzyłem bramę, która na żelazną zasuwę była zamknięta.

Uczyniwszy to prawie w jedném mgnieniu oka, skoczyłem na kozieł i zacinając konie wyjechałem na ulicę.

Konie pędziły jak koty, a ja nawoływałem je ciągle do szybszego jeszcze biegu.

Obejrzałem się po za siebie, nikt mnie nie gonił, ale też nie widziałem owéj tajemniczéj odsieczy, która mnie tak niespodzianie poparła. Noc rozjaśniła się, niebo wyiskrzyło się gwiazdami. Ujechałem dobry kawałek, gdy nagle widzę przed sobą umykającą jakąś postać. Postać ta, owinięta w płaszcz, pędziła z ogromną szybkością wzdłuż ulicy, jakby uciekała przed najeżdżającym powozem.

Popędziłem koni i wytężyłem wzrok za uciekającym. Nie minęła chwilka a dogoniłem go. Spojrzałem na ciemną postać bystro, i jakież było moje zdziwienie, gdy poznałem w niéj po figurze i po czapce Dyzmę.

— Dyzma! Dyzma!—zawołałem, wstrzymując konie—nie uciekaj, to ja!

Był to istotnie Dyzma. Zrazu nie poznał mego głosu i już chciał dać susa między boczne domostwa, ale poznawszy mnie wreście przystanął i twarz swą płaszczem owiniętą odkrył.

— Siadaj Dyzmo!—zawołałem.

Dyzma przekonawszy się, że nie ma niebezpieczeństwa, wspiął się na kozioł.

— Co się z tobą działo? Myślałem, że wróciłeś dawno do domu.

— Albom ja tchórz!—zawołał Dyzma z junacka—toć nie mogłem cię opuścić w przygodzie!

Mimowolnie zaśmiałem się głośno — taki śmieszny był Dyzma w swéj rycerskiéj pozyturze.

— A co, nie tęgo się spisałem?—zapytał Dyzma, ocierając pot z czoła.

— A nie ma co mówić, że gracko uciekałeś!—rozśmiałem się —toż ledwo cię końmi dopędziłem.

— Człowiecze—rzekł Dyzma, z miną obrażonego — a któż ci to odsiecz przyniósł?

— Jakto? to ty byłeś?...

— A juściż ja, a nie kto inny.

Wpatrzyłem się na niego ciekawie.

— Kiedy podsunąłeś się pod parkan—począł opowiadać Dyzma—ja chciałem umykać co prędzéj do domu. Zdjęła mnie jednak ciekawość a zarazem obawa o ciebie, i namyśliłem się inaczéj. Obrałem sobie miejsce bezpieczne w rowie i czekałem.

— Mężny Dyzma! — zawołałem, nie mogąc się wstrzymać od śmiechu.

— Usłyszawszy naraz okropną wrzawę i dwa strzały—ciągnął daléj Dyzma — przestraszyłem się okropnie, ale zdobywając się na odwagę i dodając sobie ducha odwoływaniem się do obowiązków przyjacielskich, posunąłem się pocichu pod parkan i przez szparę zajrzałem, aby obaczyć co się dzieje. Ujrzałem ciebie przy oknie, gotującego się bronić całéj kupie, która na ciebie srodze nacierała...

— I nie uciekłeś?

— Ot dałbyś pokój żartom. Mówiłeś zawsze, żem tchórz, chciałem tedy dowieść, że i ja zdobyć się potrafię na odwagę. Zresztą tak mi się naprawdę zrobił żal serdeczny ciebie, że postanowiłem azardować się i nie pytać o nic. Nie uważałeś tego zapewne, że idąc z tobą, wziąłem z sobą parę pistoletów, od wieku nabitych, które widzieć musiałeś u mego ojca nad łóżkiem. Począłem więc z całéj siły nogami i pięściami bić w parkan i zmieniwszy sobie głos, wołać straszliwym tonem: Trzymaj się, idziemy w pomoc!

— Słyszałem, słyszałem! Ale któż się to mógł spodziewać, że ten głos z ciebie wychodzi? Myślałem, że tam cała rota stentorów za parkanem.

— Bo też wołałem bardzo odważnie, a jak widzisz, ochrypłem nawet z tego całkowicie. Ten pierwszy krok tak mnie podochocił, że wystawiwszy ręce po nad parkan, dałem ognia, a dopiero potém uciekać począłem.

— Niechże cię uściskam, mój drogi, serdeczny Dyzmo—zawołałem—wyrządziłeś mi ogromną przysługę, bo twoje krzyki i strzały tak okropnie przeraziły moich przeciwników, że uciekali bez upamiętania.

Dyzma nie posiadał się z radosnego poczucia swego bohaterskiego czynu. Ja zaś uśmiawszy się w duchu z rozwiązania owéj zagadki sukursu—oddałem mu lejce na chwilę i zwróciłem się ku Helence. Najdroższa moja przyszła już była teraz zupełnie do siebie. Posypały się z obu stron zapytania, odpowiedzi, wykrzyki... Panna Agnieszka tylko siedziała jeszcze milcząca i nieruchoma; snać nie mogła się opamiętać po przebytéj trwodze...

W téj krótkiéj chwilce rozmowy z Helenką, dowiedziałem się całéj historyi jéj porwania i dalszych jéj kolei. Zmuszano ją gwałtem do poślubienia młodego Szalborskiego, działając na nią groźbą... Następnie zmyślono przed nią najokropniejsze wieści o mnie.

Zapewniono ją, że podczas gdy ona czuwała u łoża umierającego dziadka, ja prowadziłem najbezecniejsze życie we Lwowie, że ożeniłem się z jakąś awanturnicą, i że potém dopuściłem się okropnych zbrodni, za co mnie uwięziono. To wszystko usiłowano stwierdzić jakimiś pofałszowanymi papierami, a aby przełamać do reszty opór Helenki, stary Szalborski obiecywał jéj, że dołoży wszelkich starań, aby mnie obronić i uwolnić, jeżeli odda rękę jego synowi...

Z krótkich szczegółów opowiadania Helenki mogłem pojąć, co za okropne przebyła położenie... Zrozpaczona, zbolała, na duszy i ciele złamana, dała się ubrać do ślubu — ale zapewniała mnie, że miała zamiar przed ołtarzem wyjawić, że jest ofiarą gwałtu, i tym sposobem odzyskać wolność...

Słuchałem tych szczegółów z największém oburzeniém, i z mojéj strony opowiedziałem w kilku słowach całą haniebną intrygę Szalborskiego. Nie wspomniałem jéj jednak naumyślnie o generale saskim, panu Suchorzewskim, ciesząc się już z góry zdziwieniem Heleny, gdy ujrzy znanego sobie żółtego wujaszka i o całym tym osobliwym zbiegu okoliczności się dowie.

Kiedy tak gorączkową rozmowę prowadziliśmy z Helenką — zatrzymał nagle Dyzma konie i rzekł do mnie:

— Wjeżdżamy w miasto, muszę cię tu opuścić. Nie mogę się daléj narażać...

Nie chciałem zatrzymywać dłużéj Dyzmy, który i tak tego wieczora przebył niesłychane, jak dla niego, awantury, więc wziąłem od niego lejce i uścisnąłem mu raz jeszcze serdecznie dłoń na podziękowanie.

Dyzma zeskoczył z kozła i otulając się w swój płaszcz szeroki znikł w ulicach miasta. Ja tymczasem popędziłem koni i wytężonym kłusem pojechałem daléj...

Nie potrzebuję prawie mówić, że zdążałem wprost do starego pałacu, na żółkiewskiém przedmieściu, do kwatery — żółtego generała.

Zdaleka ujrzałem już, że pierwsze piętro starego domostwa było rzęsiście oświetlone. Bramę zastałem otwartą, przy ganku wisiało kilka latarni. Widocznie żółty wujaszek przygotował się na przyjęcie swych ślubnych gości.

Wjechałem z pędem i trzaskiem na podwórze i osadziwszy konie przed słupami, zeskoczyłem z kozła i wysadziłem z powozu Helenkę i pannę Agnieszkę.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała Helenka, patrząc na dziwne stare domostwo.

— Zgadnij Helenko, u kogo jesteśmy? — zapytałem z uśmiechem. Zdziwisz się ogromnie, gdy tu ujrzysz kogoś...

— Kogóż tu ujrzeć mogę?.... Ciebie mam przy boku, ksiądz Ignacy w Basztokolu, a dziadek w grobie... Kogoż jeszcze mam tak znajomego?...

— Krótką masz pamięć, Helenko — rzekłem — jest przecież ktoś jeszcze, kogo znasz doskonale...

Helenka wzruszyła ramionami:

— Towarzysz naszych lat dziecinnych, świadek naszéj miłości i szczęśliwych dni basztokolskich.

— Żółty generał...—zawołała Helenka. — Ale cóż to ma znaczyć... Zkądby stary obraz mógł się dostać do Lwowa, do tego domu?...

— Obraz został w Basztokolu—ale tu jest żywy oryginał!

Helenka wpatrzyła się na mnie z zdziwieniem, jakby pojąć nie mogła, że w takiéj chwili, świeżo po przebyciu gwałtownych przygód, jeszcze żartować mogę.

— A przecież to prawda!—rzekłem — Tak jest, Helenko, ujrzysz za chwilę żółtego generała, prawdziwego, żółtego wujaszka! Uprzedzam cię, abyś się nie przelękła, jak ongi małém dzieckiem w baszcie u dziadka.

I biorąc ją pod ramię, wszedłem na korytarz.

Dwóch lokai we frakach zjawiło się zaraz przed nami ze świecami.

Były to dwa zaciekłe, stare niemczyska, podobne z figury do swego pana.

Z ukłonem pełnym uszanowania wskazali na schody wiodące na pierwsze piętro i powiedli nas z światłem na górę.

Znaleźliśmy się na długim korytarzu. Jeden z lokai wskazał nam drzwi. Popatrzyłem, czy bukiet weselny, który zerwałem młodemu Szalborskiemu i sobie do kubraka przypiąłem, jest jeszcze

przy méj piersi, i otwarłszy drzwi z trzaskiem, wpadłem szybko z Helenką do środka...

Helenka spojrzała przed siebie, zatrzymała się na chwilkę, i jak to przewidywałem, aż krzyknęła z zdziwienia.

Równocześnie usłyszałem drugi stłumiony okrzyk przerażenia.

Wszedłszy śmiało na środek pokoju, rozglądnąłem się do koła. Był to salon duży, tym samym staroświeckim sposobem i w tym samym dziwacznym, fantastycznym smaku umeblowany, co dwie poprzednie, poznane już przezemnie, komnaty starego domu.

Sala była jasno oświetlona, a znajdowało się w niéj kilka osób.

Nasamprzód uderzała wysoka, chuda i sztywna postać żółtego generała. Powstał on z krzesła, gdyśmy weszli do sali. Ubrany był tak, jak go znałem z portretu i jak go widziałem owéj nocy. Miał na sobie ten sam żółty mundur z złotymi haftami, te same ordery i te samą szpadę biało oprawną przy boku.

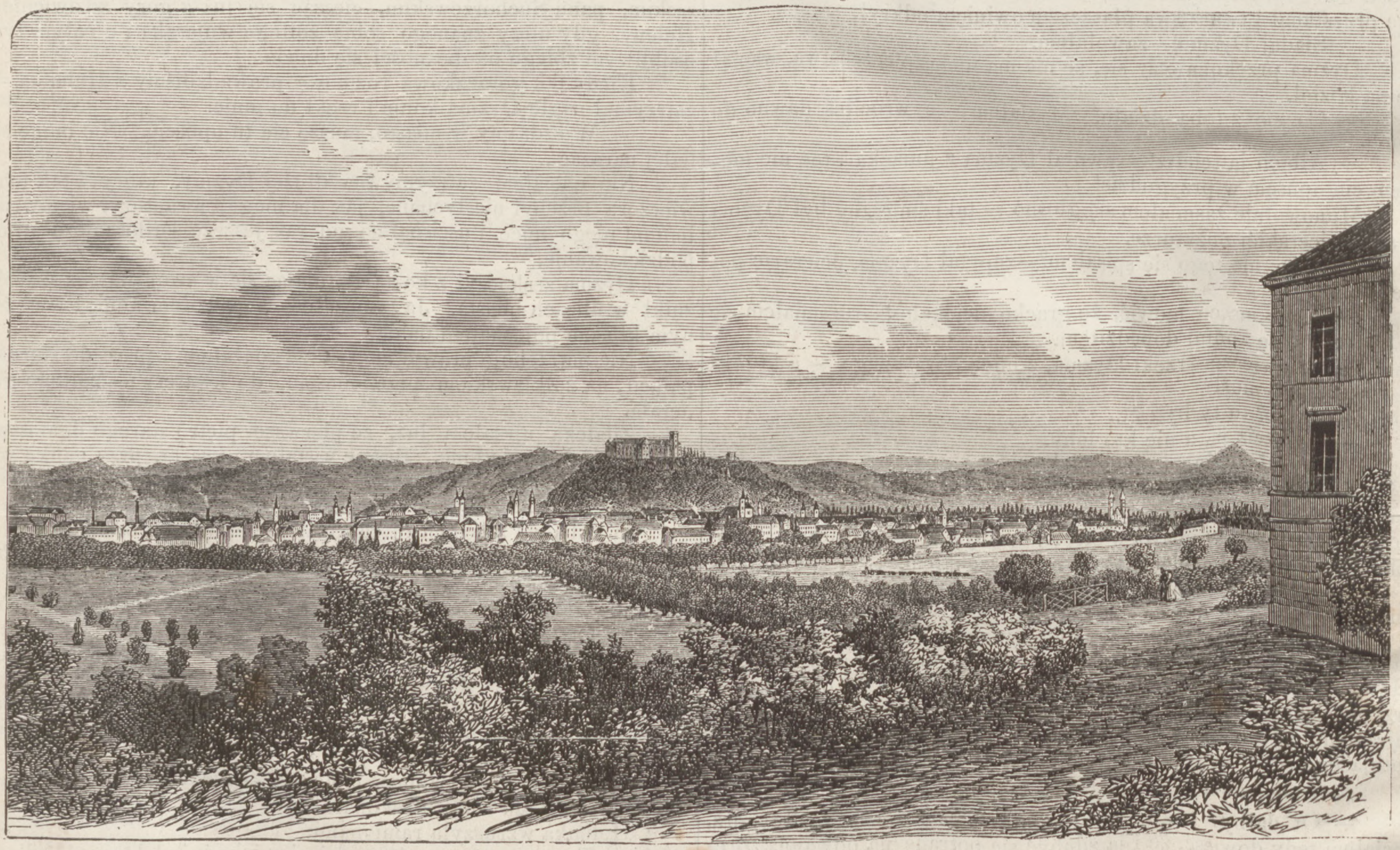
Tuż za nim stał stary Szalborski, i on to był, co powitał nas wchodzących wykrzykiem przerażenia. Po drugiéj stronie stał siwy, opasły i niski oficer, w niemieckim uniformie. Był to widocznie adjutant pana generała, lejtnant Kremoitz. Obok niego stały dwie inne jakieś figury, zapewne do służby należące.

Scena niema, która się odgrywała po naszém przybyciu, była godną pędzla malarza.

Żółty generał spojrzał najpierw na Helenkę, która mimo przebytéj trwogi, prześlicznie wyglądała, w białym stroju panny młodéj, i twarz jego rozjaśniła się łaskawym, dobrotliwym uśmiechem.

Potém zwrócił oczy na mnie, a na czoło jego wystąpił mars i wyraz zdziwienia.

Wyglądałem też nie bardzo gładko i wcale nie miałem postaci pana młodego. Prócz bukietu, wydartego młodemu Szalborskiemu, nic nie mogło wskazywać, że na gody weselne przybywam. Strój mój obozowy nie był w najlepszym porządku. Burka z junacka spływała mi z ramienia, kubrak w kilku miejscach był nadszarpany, u pasa wisiał porwany bandolet od szabli, a duże ksylpy były całkowicie błotem okryte. *(dokończenie nastąpi.)*



Lublana, stolica Krainy. (Str. 107).

Od Wydawcy.

— Jakkolwiek zaraz po wyjściu każdego Numeru **Opiekuna Domowego**, takowy w odpowiedniéj liczbie egzemplarzy wysyłany jest do Ekspedycyi Gazet w Warszawie, celem przesyłki takowego do właściwych stacyj pocztowych na prowincję,— jakkolwiek na każdy egzemplarz pisma naszego, dostarczony drogą poczty, posiadamy odpowiednie pokwitowanie, z tém wszystkiém jednak nie ma dnia jednego, żebyśmy nie otrzymywali reklamacyj, o niedochodzeniu regularném prenumeratorów z prowincyi pojedynczych Numerów Opiekuna Domowego.

W obec takiego stanu rzeczy, winniśmy stanowczo uprzedzić czytającą publiczność z prowincyi, iż w żadnym razie nie jest winą Redakcyi, jeżeli prenumerator nie otrzymuje pisma, za które zapłacił i które mu się słusznie należy. Dbała o swe materyalne dobro Redakcya popełniałaby błąd niedarowany, jeżeliby lekceważyła żądania tych, od których byt jéj pisma zależy, — oświadczamy więc: że każde słuszne żądanie prenumeratora, chociaż po za obrębem naszéj winy będące, staramy się załatwić jak najwcześniéj i jak najskrupulatniéj.

Jeżeli jednak prosić wolno czytelników naszych, to z uwagi,—że nie za swą winę Redakcya trzy razy jest karaną, — raz, odbierając list, za który 3 kopiejki płaci, drugi raz przesyłając brakujące numera, nie żądając zwrotu za ich wartość od prenumeratora, i po trzecie, frankując przesyłkę tychże brakujących Numerów,—prosimy więc, aby na przyszłość listy w kwestyach nie dochodzących ich pojedynczych Numerów Opiekuna Domowego, były zaraz po ich nieotrzymaniu nadsyłane do Redakcyi, bo *takie tylko uwzględniane będą*. Niepodobieństwem bowiem jest wyszukiwać np. brakujących Numerów Opiekuna Domowego z 1865 roku, jeżeli prenumerator zgłasza się po nie dopiero w 1871 roku.

Wydawca, Mieczyński Adam. Дозволено Цензурою. 18 (30) Марта 1871 г. — **Redaktor**, Stanisławski Oskar.

W Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b.*